

Rozdział V

Hieman podniósł się z dyszla, aż ten podskoczył i zatrzęsł się. Dopiero wtedy Jadzia zauważyła, że tak po prostu na tym dyszlu siedzieli przez dłuższy czas, zagubieni w dawnych sprawach, oderwani od tego pochmurnego dnia, który wisiał nad nimi. Wstała również i spojrzała jeszcze na tę cudzą oborę, w której Hieman razem z Wieczorkiem chował teraz swój inwentarz. Wskazał jej jeszcze ruiny swego domu za drogą, porośnięte chwastem i pnącymi się w górę brzózkami. Cała połać pola leżała w gruzach, zarastających osiemnastoletnim zapomnieniem. Gdzież są ludzie, którzy mieszkali w stojących tu niegdyś domach?

Hieman podniósł wiadra, upačkane śrutą i kartoflaną mazią. Brzęknęły w jego rękach. Ominęli sterzący na środku podwórza wóz i skierowali się ku drodze.

— Zapomniałbym na śmierć — odezwał się Hieman nagle. — Pani Grusowa kazała pozdrowić wszystkich znajomych ze wsi. Spotkałem ją w tym tygodniu w Olsztynie. Wspominała starych, nie zapomniała też o twojej grósce. Pamięta ją. Powiedz babce, że ją pozdrawia.

— Pani Grusowa? — zapytała Jadzia, ale zaraz sobie przypominała nazwisko nauczyciela, umieszczone jako ostatnie na tablicy, wmurowanej w budynek

szkolny. Uzupełniła więc szybko: — To żona nauczyciela, który tu uczył w polskiej szkole?

— Tak. Sama tu pracowała dłużej od niego, przez lata prowadziła nam ochronkę. Jest teraz w Olsztynie wizytatorką przedszkoli.

Na końcu wsi stał mały budynek, w którego frontową ścianę również wmurowano tablicę. Jadzia dobrze pamiętała starą ochronkę.

Pożegnawszy Hiemana, przeszła przez piaszczystą drogę i stanęła przed szkołą. Czerwony, nie tynkowany budynek z błyszczącej cegły zakończony był trójkątnym szczytem. Na prawo od drzwi wejściowych okna klasy połyskiwały ciemnymi refleksami. Pomiędzy oknami, otulona pnączami wina, biała marmurowa tablica, przymocowana do ściany hakami, głosiła:

W TYM DOMU W LATACH 1929—1939
MIEŚCIŁA SIĘ POLSKA SZKOŁA
POMIMO TERRORU I PRZEŚLADOWAŃ
NIE SZCZĘDZĄC SWYCH SIŁ
UCZYLI W NIEJ UGRUNTOWUJĄC POLSKOŚĆ
EDMUND PUKOWSKI
TOMASZ SETNY
SEWERYN PIĄTEK
RYSZARD KNOSAŁA
PAWEŁ TRZCIŃSKI
TEOFIL GRUS

Złote litery błyszczały na białym tle.

Tak mało jej mówiły te daty i nazwiska. Słyszała je podczas uroczystości wmurowania tablicy, mówili coś o nich nauczyciele, ale miała wtedy dwanaście lat i przelatywało przez pamięć to wszystko, jak tyle innych wrażeń, przeżyć i nauczycielskich słów. Były to jakieś dalekie, bodaj książkowe sprawy. Później — codziennie widywana tablica spowszedniała i stała się zwykłym widokiem, nad którym się nie rozmyśla. Przeminało bez echa nawet i to, że w krótkim czasie po wmurowaniu tablicy ktoś rzucił w nią kamieniem,

pozostawiając w narożniku pęknięcie jak bolesną bliznę. Ileż musiała przecierpieć ta szkoła, jeśli po tylu latach ktoś się mści na tej pamiątce. Mówili wtedy dorośli, że wszyscy wiedzą, kto znieważył tablicę; nikt jednak nie chciał wymienić nazwiska, nie mając dowodów winy.

Wspięła się na palce, by zajrzeć przez okno do wnętrza klasy, ale błyski dziennego światła na podwójnych szybach nie pozwoliły niczego dojrzec, więc odeszła od okna i przemknęła pod ścianą do drzwi wejściowych. Chciałaby zobaczyć kierownika szkoły — pana Pawika — może dowiedziałyby się znowu czegoś od niego — choćby na temat nauczycieli wymienionych na tablicy — ale zaraz wstydziła się tego spotkania: nagle zainteresowania żenowały ją, dziwne były dla niej samej te niespodziane, nowe uczucia, jakby książkowe i sztuczne. Były zbyt wielkie na nią, zbyt wzniosłe i niecodzienne, by się nimi z kimś dzielić. Pragnęła spotkania z kierownikiem i zarazem bała się go.

Drzwi do szkoły były otwarte. Usłyszała w jednej z klas stukanie, weszła więc i ujrzała mężczyznę w roboczym kombinezonie, przykręcającego pod oknem kaloryfer do ściany. Mężczyzna odwrócił się — był młody i przystojny — uśmiechnął się i zapytał:

— Chce mi pani pomóc?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo w dodatku dziwiła ją ta robota i nowe urządzenia.

— Pan pewnie z Olsztyna?

— Zgadła pani. Z kolei. Opiekujemy się tą szkołą i robimy jej taki prezent.

Prawda, przecież to ci sami kolejarze, którzy zafundowali żaglówkę i mundury, a potem telefon. Poczuli sympatię do tego młodego człowieka, bo przywodził jej na myśl najpiękniejsze chwile, a zarazem kojarzył

się z jej historycznymi dociekaniem. Dyrekcja z kolei zaopiekowała się szkołą po to, by uczcić jej tradycje.

Zacząła jednak wycofywać się, bo robotnik odłożył narzędzia i stanął z zadowoloną miną, jakby gotował się do flirtu.

— Już pani idzie? — zawołał żałośnie.

— Myślał pan, że naprawdę pomogę? — odpowiedziała już za progiem.

W przeciwniejszej klasie stały pod ścianą usunięte ławy. Tutaj uczyła się przez kilka lat; znajome ściany i sprzęty przywołały znowu wspomnienia. Broniła się przed nimi, szukała czegoś innego. Zamknęła drzwi za sobą i rozejrzała się dookoła. Zbliżyła się do nauczycielskiego stołu, na którym w szklaneczce stały storkotki. I ona przynosiła kwiaty do szkoły. Do tego wspomnienia musiała się uśmiechnąć.

W kącie po stronie okien stał drugi stół, a na nim leżały obrazy — złożone tu zapewne na czas remontu. Na samym wierzchu pod połyskującą szybą czerniły się zarysy męskiego portretu. Podeszła i ujęła portret w ręce. Nie patrząc na twarz, odczytała u dołu podpis: „Teofil Grus, nauczyciel polskiej szkoły w Nowej Lipownie, zamordowany przez hitlerowców”.

To o tym nauczycielu wspomniał Hieman, to jego żona żyje w Olsztynie, a przed laty pracowała w tej wiosce.

Wyraz „morderstwo” kojarzył się jej zawsze z ciosami, z krwią. Widywała nieraz zdjęcia zamordowanych ludzi, trupy ofiar hitlerowskich, nawet masowe groby. Ale nigdy w tej szkole, która imię Grusa nosiła, nie pomyślała o trupie; wiązała to nazwisko zawsze z kimś żywym — dobrym i mądrym. Po raz pierwszy wpatrywała się z zainteresowaniem w ten portret i nie mogła zobaczyć na nim człowieka zamordowanego. Nasłuchiwała się dziś i wczoraj tyle o dawnych czasach,

a mówili jej o nich ludzie żywi, którzy własnymi oczami patrzyli na historię i własnymi rękami ją tworzyli.

Mała Basia Pawikówna, w kolorowej sukience i z czerwonymi wstążeczkami we włosach, stała na progu i patrzyła na Jadzię, jakby nie mogła jej poznać.

— Tak się zmieniłam? — zapytała Jadzia.

Dziewczynka uśmiechnęła się niepewnie.

— Czy tatuś jest w domu?

— Nie ma go. Poszedł na wieś do kowala — po motocykl, bo tata wybiera się w tym tygodniu w podróż i kowal miał motocykl naprawić.

Pan Pawik nadjechał po kilkunastu minutach, gdy rozmawiały już przed szkolnym gmachem. Długo jeszcze trwało, nim w podwórzu zgasł próbowany wielokrotnie silnik, nim kierownik skończył rozmowę z młodym kolejarzem, nim poszedł zamknąć frontową bramę. Jadzia krążyła tak, by doprowadzić do niby to przypadkowego spotkania.

— Dzień dobry — szepnęła nieśmiało, ale ścisnął jej dłoń jak osobie dorosłej.

— Przyszłaś do mnie? — dopytywał się. — Masz jakąś sprawę?

— Nie — bąkała. — A właściwie tak. Przyszłam zwyczajnie, odwiedzić.

— Urosłaś. Jak się czujesz w Bartoszykach? Chcesz rzeczywiście zostać nauczycielką?

— O, tak — powiedziała, choć w tej chwili nie była tego pewna.

— No, to życzyć ci tylko, byś wróciła za dwa lata do szkoły w Nowej Lipowinie. Na moje miejsce.

Roześmiali się oboje.

— Dwa lata to tyle czasu. I jeszcze trzeba zdać maturę. Ale chciałabym pracować w naszej szkole.

— Tu twoje miejsce. Wystarczy go i dla ciebie,

i dla mnie. Tak niewiele jest wsi, zamieszkałych prawie wyłącznie przez ludzi miejscowego pochodzenia. Ale, ale, miałaś do mnie jakąś sprawę?

Weszli do szkoły. Jadzia pobiegła do klasy, wzięła portret Teofila Grusa i powiedziała:

— Chciałam od pana dowiedzieć się czegoś o tym nauczycielu.

Otylia Grusowa obróciła się na drugi bok i prycza skrzypnęła. Równocześnie usłyszała skrzyknięcie sąsiedniej pryczy. Czyżby Helena również nie spała? Było już zupełnie ciemno, dawno umilkły rozmowy i szepty więźniarek. Zdawało się, że wszystkie śpią.

Sama jednak zasnąć nie mogła, było jej zimno. Wzmagał je szumiący za barakiem wiatr. Po pierwszej ostrej zimie niemiecko-radzieckiej wojny, w czasie której mroź dziesiątkował hitlerowską armię, wiosna przychodziła nieśmiało — tak, jakby świat nie mógł zagrać się po długim przemarznięciu. Majowe noce, wieczory i ranki były chłodne, o paleniu nie było mowy i liche przykrycia nie wystarczały, by utrzymać pod nimi choćby swoje własne skąpe ciepło.

Gdy, otuliwszy się szczelnie, zwijała się w kłębek, powracał do niej wraz z napływającym ciepłem gorący sierpień 1939 roku. Pogodne niebo, wysuszone piaski Nowej Lipowiny, bluzka z krótkimi rękawkami, biała koszula Teofila i jego spokojny, uciszający głos.

Byli wtedy zaledwie siedem miesięcy po ślubie, nie pracowała już w Olsztynie, mieszkali razem w Nowej Lipowinie u Jędrzejewskich, tam na piętrze mieli sypialnię. Promienie słońca budziły ich wcześniej, bo spali przy otwartym oknie.

Który to był dzień? Dwudziesty... dwudziesty... tak,

dwudziesty piąty sierpnia. Na dole o szóstej rano warkot samochodu i męski głos:

— Wohnt hier Herr Teophil Grus?

Teofil wyskoczył z łóżka i przez okno zobaczył wysiadających z samochodu dwóch niemieckich oficerów — czy nie byli w zielonych mundurach Wehrmachtu? Wojska widywało się wtedy dużo, całe wielkie jednostki ciągnęły wszystkimi drogami na południe do polskiej granicy. Czegoż jednak mogli chcieć ci dwaj? Może chodziło im o jakieś lokalne informacje?

Pukanie do drzwi przerwało domysły. Teofil zaważał się na chwilę, otworzył. Oficerowie nie pchali się do środka, stali w sionce grzecznie, ich spokojne głosy zdradzały jednak stanowczość i bezwzględność.

— Sie sind Teophil Grus? Ist Ihre Frau zu Hause?

Kazali jej ubrać się i zamknęli drzwi. Teofil w pidżamie poszedł z nimi. Było słychać, jak obchodzili całe mieszkanie: kuchenkę na górze, jadalnię i salonik na parterze. Znaleźli jedną jedyną rzecz podejrzaną: nie sprzątnięte ze stołu kieliszki do wina, pozostałe po wieczornych gościach.

Teofil ubierał się potem spokojnie, jak to on.

— Mamy was zabrać na policję — oznajmił jeden z Niemców. — Znacie państwo oboje język niemiecki, nie wolno wam więc od tej pory porozumiewać się po polsku.

Teofil poprosił o pozwolenie pójścia do ochroniarki Róży Königsmann, by odesłała do domu dzieci, które przyjdą do szkoły. Wyższy wzrostem Niemiec poszedł z nim.

— Jesteśmy aresztowani, Rózo. Powiedz dzieciom, by poszły do domu. Niech nie przychodzą do szkoły, póki nie zostaną wezwane.

Róża opadła na krzesło. Teofil mówił po niemiecku. Nie mogła tego pojąć.

Niemiec wrzasnął:

— Kto panu powiedział, że jest pan aresztowany? Dlaczego sieje pan popłoch?

Krzyczał przez całą powrotną drogę do domu. Niuchna Jędrzejewska stała na dole przy furtce i tylko kiwała głową. W domu Pełki pojawiły się głowy w oknach.

W drodze autem do Olsztyna wieźli więc ze sobą nadzieję rychłego powrotu. Otwarły się im oczy, gdy auto stanęło przed więzieniem. Tak, przecież to byli gestapowcy — nie żołnierze. Czy zmienili mundury? Od nich nie powracało się prędko.

Po olsztyńskim więzieniu przyszły obozy w Hohenbruch i Królewcu, znowu więzienie w Olsztynie, wreszcie Schutzhaftbefehl — taki różowy, wesoly arkusik papieru z okrutnym wyrokiem:

„Da Ihr Verhalten erwarten lässt, dass Sie gegen den Deutschen Staat weiter arbeiten werden, werden Sie in Schutzhaft genommen.“

I po kilku dniach Ravensbrück. Był czerwiec — prawie tak ciepło, jak w owe sierpniowe dni.

Do Ravensbrück przychodziły od Teofila wieści z Hohenbruch — tam zresztą przez pewien czas byli razem — z Sachsenhausen, wreszcie z Dachau.

— Prawda, że jutro sobota, Helenko?

Od dłuższego czasu Otylia leżała na prawym boku, z otwartymi oczami. Rozpoznała w ciemności twarz Heleny. Oczy tamtej błyszczały. Teraz w odpowiedzi dobiegł szept:

— Spodziewasz się listu?

— Tak — szepnęła Otylia. — Przeczuwam. Przyjdzie na pewno. Teo czuje się dobrze, nie brak mu jeszcze sił. Ostatni list był taki spokojny. Wiesz, przekazuje mi wiadomości o sytuacji na frontach. Pisze o siostrze i bracie, których nie ma. Jest dobrze. Czy

ty też odczuwasz kojące działanie tych prostych zdań, które wolno pisać więźniom? Może ci kaci mają rzeczywiście rację, wytyczając wąskie granice korespondencji. Gdyby pisało się całą straszną prawdę — byłyby to ciosy ostateczne.

— Męczyłyby tak jak wspomnienia i marzenia.

— Ale one, jak dręczą, tak zarazem trzymają przy życiu.

Zapadła znowu cisza. Helena odwróciła się na drugi bok — tyłem do Otylii. Miała własne myśli, wspomnienia i marzenia. Przez barak przeszła nocna dozorczyńni, stukając powoli obcasami. Raz po raz rzuciła w ciemność smugę światła z latarki.

— To ta cholera — powiedziała Helena prawie głośno.

— Ciszej — ostrzegła ją Otylia. — Nie możesz spać? Przyjdź do mnie. Ona nieprędko teraz wróci.

Heleny nie trzeba było długo namawiać. Już po kilku sekundach leżały obok siebie. Otylia zaczęła zaraz mówić, bała się, że zostanie uprzedzona.

— Do mnie we wspomnieniach wraca tylko Nowa Lipowina. Czas przed nią — dziecinne lata w Rożnowie za Dywitami, wiesz, to jest około dziesięciu kilometrów na północ od Olsztyna — czas nauki — to wszystko zapadło gdzieś głęboko. Gdzieś za jakąś mgłą pozostały nawet te dwa lata pracy w Olsztynie pomiędzy jednym a drugim okresem lipowińskim. A ten czas tak gęsto jest nabity przeżyciami, wydarzeniami, działaniem. Jak my walczyliśmy o lokal ochronki przy Freiherr von Stein-Strasse, zajmując nielegalny przytułek w Domu Polskim. Barcz przez to poszedł do więzienia. Opiekując się dziećmi, pracowałam równocześnie w Towarzystwie Szkolnym, kierowałam harcerskim hufcem Wschodnio-Pruskim, utrzymywałam kontakty z krajem, ja nie wiem, kiedy jadłam i spałam.

— Mówiłaś, że wspominasz tylko tę tam Lipowinę. No, a gdzie był Teo w tym olsztyńskim czasie?

— Tułał się na zastępstwach. Wiesz, ja przeżyłam wszystkich nauczycieli polskich w tej wiosce: Edmunda Pukowskiego, Tomasza Setnego, potem tych wszystkich przelotnych, którzy mieli stałe trudności z otrzymaniem prawa nauczania: Trzecińskiego, Bzówkę, Knośkę, Piątkę.

— Po co mi ta litania? Mów o Teofilu.

— Teo przyszedł latem 1936 roku na zastępstwo z Małych Podmokli w powiecie babimojskim. Ja tam byłam zasiedziała, a on przez zaledwie trzy miesiące żył się z tą wioską na piaskach.

— Nie syp piaskiem w oczy. Zżył się z tobą.

— Mieliśmy tyle wspólnych spraw. Z czterdzieściorga dzieci, które przyszły w 1929 roku do Pukowskiego, pozostało w szkole tylko kilkanaścioro. W 1939 była ostatnia dziesiątka. Chodziliśmy razem po domach, podpatrywani przez niemieckich nauczycieli. Pocieszałyśmy, umacniałyśmy, starałyśmy się o odbierane ludziom posady, o pożyczki w polskim banku, o utracone renty. Rodzice sami płakali nad każdym dzieckiem, które oddawali w niemieckie ręce.

— Teraz cała Polska w niemieckich rękach.

— Któregoś wieczora, idąc z jakiejś chałupy, zaszedliśmy nad jezioro Gim. Leżało tuż pod wsią. Zrozumieliśmy wtedy, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni nie tylko jako Polacy. Byliśmy młodzi i głodni życia. Ja miałam dwadzieścia siedem lat, w ciągu których nie było czasu ani okazji na miłość. On miał trzydzieści trzy lata, w tym wieku pragnął się domowego ogniska.

Za oknem zastukały obcasy. Helena wymknęła się szybko na swoją pryczę, ale dozorczyni nie weszła.

Otylia zagrzewała się znowu, skulona jak przedtem.

Wydawał się jej ciepły nawet ten styczniowy, zimny dzień 1939 roku, gdy po ślubie cywilnym w Olsztynie ksiądz Osiński pobłogosławił ich związek w kościele w Dywitach. Przez kilka poprzednich lat ni to żartem, ni to poważnie zastrzegał sobie, że nie kto inny, tylko on udzieli jej ślubu. Spokojny, flegmatyczny Teo dostojnym krokiem prowadził ją do ołtarza. Zebrany w kościele tłum rozstępował się, gdy szli strojni, wystawieni na ciekawe spojrzenia.

Zamieszkali w Nowej Lipowinie u Jędrzejewskich i tam w sypialni na piętrze znajdowali schronienie przed burzliwym, trudnym życiem, do którego oboje codziennie wracali. Prowadziła gospodarstwo domowe, gotowała, sprzątała, prała, ale nie wystarczało jej to. Znała zresztą lepiej od niego i dzieci w szkole, i ludzi we wsi, z którymi przeżyła tyle dobrych i złych lat. Nie odebrał jej świata, zresztą wcale nie miał tego zamiaru. Należeli i do siebie, i do świata zarazem.

Zbudziła się na jakiś czas przed apelem. Dzień już był jasny. Spojrzała na Helenę — ta spała jeszcze. Za to Monika — ta chuda, malutka Monika z czarnymi włosami — trzymała w rękach jakiś papier i wpatrywała się w niego. Gdzieś tam za oknem słychać było ujadanie psa. Któraś z więźniarek głośno chrapała.

Otylia chciała myśleć o nadchodzącym dniu, ale ten papier w rękach Moniki przypomniawszy jej znowu, że ma otrzymać list od męża. Chyba dzisiaj przyjdzie.

Kładła swoje skarby na noc pod siennik. Zanim przyjdzie ten list, przeczyta jeszcze raz poprzedni. Rozzejrzała się dookoła, obróciła się na bok i sięgnęła ręką pod szeleszczącą papierową powłokę. Namacała palcami arkusz leżący na wierzchu. Miała przed oczami znajome pismo — jego pismo:

„Nazwisko: Teofil Grus, urodzony dnia 7. 6. 1903.
Nr więzienny: 27943. Blok 18, Dachau K 3.

Dnia 25. 4. 1942.

Kochana Żono! Jestem przekonany, że otrzymałaś mój poprzedni list i na pewno nad nim rozmyślałaś. Od swej siostry dostałem dzisiaj wiadomość, że była w Berlinie i że jej starania odniosły pomyślny rezultat. Nasz los (w tym miejscu kilka wyrazów zamazanych) musimy dźwigać. Od Ciebie nie otrzymałem w ostatnim czasie żadnej wiadomości, ale przecież miałaś dostateczne powody, by pisać raczej do domu. Od swego brata otrzymałem wiadomości pocieszające. Pisze on, że stan jego zdrowia poprawia się w sposób widoczny, że przybiera na siłach, wstaje już codziennie na kilka godzin i ma dobry apetyt. Co do mnie, bądź spokojna, nie upadam na duchu. Jak wiedzie się Tobie? Wierzę w Ciebie i pokładam w Tobie nadzieję.

Pozdrawiam więc Cię, całuję Twoje kochane ręce i pozostaję na zawsze Twym kochającym Cię i pełnym czci dla Ciebie mężem. Twój dobry przyjaciel, Twój Teofil."

Zakryła listem oczy. Wstydziła się całować ten sztywny, zimny papier i czyniła to tylko w myśli, patrząc w miejsce, gdzie było imię męża. Przez te poprawne, gładkie, ostrożne zdania czuła jego prawdziwe myśli. Wiedziała, że był chory na gruźlicę, i wiedziała, jaki był w nim bunt. To zdanie zaczynające się od losu zaniepokoiło widocznie cenzurę i cenzorzy zatarli je, choć było na pewno równie ostrożne, jak inne zdania.

Dlaczego napisał tak mało o stanie swego zdrowia? Wprawdzie znalazł tam przyjaciela: Ryśka Knosałę — ten opiekuje się nim — ale z jakim skutkiem? Co może dla niego uczynić? Przecież trzeba przeżyć, trzeba przeżyć, by wyjść za druty.

Podczas porannego apelu wyobraziła go sobie, stojącego tak, jak ona — schorowanego — może tam

kaszle w szeregu? Jakżeż byłaby mu tam teraz potrzebna! Trzyma się przecież jako tako i wytrzyma jeszcze dużo, choć nogi uginają się od długiego stania. Wytrzyma, jeśli wytrzymała najgorsze pierwsze miesiące przesłuchań u gestapowców i napinające nerwy śledztwo. Każdy kontakt z harcerstwem nazywano szpiegostwem i działalnością militarną. Bała się, że odnajdą jej korespondencję z Zarządkiem głównym ZHP i materiały propagandowe. Pracę z młodzieżą — nawet zwykły śpiew — traktowano jako działalność antypaństwową na rzecz obcego mocarstwa. Teo jako nauczyciel był również traktowany jako szpieg. Szpiegostwem był nawet każdy jego wyjazd do rodziny w Kościerzynie. Co by było, gdyby poznali całą prawdę o ich pracy? Kto wytrzymał tamto napięcie — wytrzyma głód, niedostatek i pracę w niewoli.

Przy pracy zapominała zwykle o wszystkim. Jak dobrze, że nie potrzebowała teraz już przebywać na mrozie, wietrze i słońcu. W starej Nähstubbie maszyny terkotały jednostajnie. Ten nie kończący się terkot, podobny do stuku spadających na dach kropli deszczu, usypiał kołujące myśli. Pod skaczącą nóżką popychała palcami szare płótno fartuchowe i śledziła ścieg, kładący się czarną, rosnącą linią. Szwalnia była ponura, ale mogły w niej chociaż porozmawiać, czasem nawet śpiewały przytłumionymi głosami, składając proste tercjowe akordy. Dozorczyni wychodziła czasem z sali i wtedy śmiały się głośno z jej przesadnie uważnej i przesadnie prawomyślnej twarzy.

Gdy w południe rozdawano listy, wywołano również jej nazwisko. Pochwyciła kopertę i od razu rozpoznała pismo: list był od mamy. Poczwała radość i zarazem ciężki, dławiący żal. Dlaczego nie pisał?

Spojrzała jeszcze raz na kopertę. Czy drżenie starczej ręki nie było jeszcze silniejsze niż zwykle? Na-

padło ją nagle podejrzenie, ale łatwo i prędko je odsunęła. Niby dlaczego miało się coś stać? Nie, nic się stać nie mogło.

— Nie mogło się nic stać — szepnęła sama do siebie. Było jej to potrzebne. Poczowała się spokojniejsza.

Biegła do baraku. Dlaczego jednak tłoczy się jej do głowy wspomnienie tej chwili w Hohenbruch, gdy widzieli się po raz ostatni? I dlaczego tyle dziś o nim myślała?

Otworzyła kopertę i z rozpaczliwą szybkością przebiegała niewprawne, starą ręką stawiane litery. Były rzeczywiście bardziej niespokojne niż zwykle. Aż wreszcie napotkała to zdanie: „Z Dachau przyszła urzędowa wiadomość o śmierci Teofila”.

— Zamordowali!

Nie widziała nadbiegających towarzyszek — słyszała tylko ich kroki. Pod trzeszczącą pryczą czuła przepaść, w którą spadała w wirującym pędzie. Przewalały się znów przez nią wszystkie lata — całe to krótkie, straszne życie, w którym tylko pół roku zdążyła przeżyć razem z nim. A te pół roku — to też szarpanina i niepokój. Stałe wizyty i podglądanie policji. Samochody przed niemiecką szkołą. Ataki na Białojankę, by oddała dzieci niemieckim nauczycielom. Zmuszanie Nowocieńki do usunięcia polskiej szkoły z mieszkania. Kłótnie Niuchny Jędrzejewskiej ze złą Senderką i jej rozpaczliwe słowa: „Tu będzie Polska!” Wyzwiska: Pollacken nach Warschau! Wyrostki ze Zgniłochy wybiły szyby w klasie. Ktoś rzucił w nią kamieniem, gdy jechała z Olsztyna przez Butryny na motocyklu. Te beznadziejne zabiegi nad utrzymaniem szkoły. Zabiegi — ataki — zabiegi — ataki — —

Teo! Czyż on może nie żyć, jeśli żyje w jej pamięci, w jej oczach, uszach i dotykul Przecież to jego pocałunek uciska teraz jej wargil Przecież to z nim żegnała

się w Hohenbruch przed swym wyjazdem, uprosiwszy tego dobrego, ludzkiego cywila z karabinem o widzenie. Nie żegnali się wtedy na zawsze, mieli w oczach jakąś taką chwilę przywitania, która miała nadejść.

— Zamordowali! — krzyknęła znowu.

— Otylio — posłyszała nad sobą szept. — Ciszej, przecież wiesz, co będzie, jak usłyszą.

Siadła na pryczy, wycierając łzy. Towarzyszki stały dookoła niej, Helena wyciągała do niej rękę z listem, powtarzając tę datę: 19 maja 1942. Otylia pochwyciła papier gwałtownym ruchem. Mnąc w rękach, przyciskała go do oczu. Chciała sobie przypomnieć, co robiła tego dnia, jaki to był dzień, o czym wtedy myślała.

Dopiero teraz uświadomiła sobie w całej pełni, że jest uwięziona, że nie przejdzie przez druty, że nawet gdyby przeszła, to nie będzie to żadnym wyzwoleniem od cierpienia.